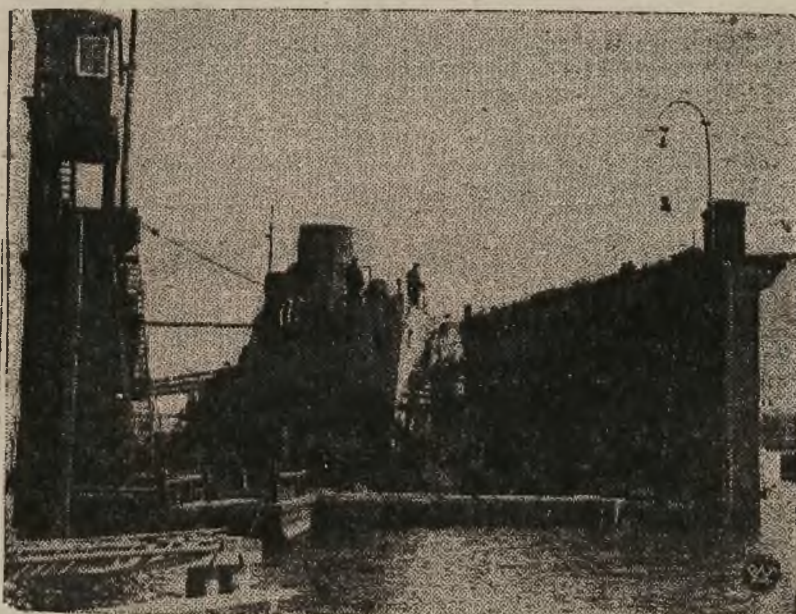
jutrzenka

dodatek tygodniowy „expresu zagłębia" dla dzieci i młodzieży
pod redakcją czarnego wujaszka

Rok III. Sosnowiec, niedziela 10 kwietnia 1938 r. Nr. 31

PRACE STOCZNI GDYŃSKIEJ.



Na zdjęciu naszym jeden z okrętów wojennych R. P. w doku Stoczni Gdyńskiej, podczas dorocznych zabiegów „tualetowych", polegających na dokładnym oczyszczeniu i odnowieniu wszystkich części okrętu.

Zabawa w okręty

Dziś jest ciepło i pogodnie,
więc się dzieci bawią zgodnie
jasno, słonecznie na dworze,

w ślicznym, dużym parku — w morze.
Biały piasek — to są fale,

co biją o brzeg Bałtyku,
latarnia morska — dwa pale,
a ląd jest tuż — na trawniku.
Dzieci są dziś okrętami:
„Grom", „Wicher", siostrzyca „Burza"
i prują fale dziobami.
(dzioby — to splecione dłonie)
Janek, Staś i mała Józia —
to polskie kontrtorpedowce,
szybkie i dzielne w obronie —
osłonią port i parowce,
wiozące ładunek do Gdyni.

(Gdynia — to ławka w ogrodzie).
Właśnie teraz z portu płynie
„Wilk", „Żbik" i obok „Ryś",
(to Michaś, Maciek i Zdziś).
— Są to trzy podwodne łodzie.
Uwaga!... na horyzoncie
widać: Janka, Stefka, Broncię —
to spieszą z wszystkich stron, wszędy,
groźne, niemieckie okręty.
Zaraz będzie straszna wojna,
bo już polska flota zbrojną
z armat wali, aż dym leci.
które nazbierały dzieci).
(Za pociski, służą szyszki,
Wróg już cofa się i trwozy,
grad pocisków za nim goni.

———

Tak dzielnie naszego morza,
marynarska wiara broni.

PRZED WIELKANOCĄ I ŚWIĘCONYM

Basia i Krysia najbardziej lubiły słuchać opowiadań mamusi o tym „co się działo naprawdę" i o tym niektóre takie opowiadanio słyszały „jak mamusia była mała". To nic, że już po kilka razy. Zawsze słuchały ich z zapartym oddechem i z błyszczącymi ciekawością oczami. Oczywiście, gdy nadchodziła gwiazdka— mamusia opowiadała pomagając dziewczynkom przygotowywać zabawki na choinkę, jak to u jej rodziców wesoło tańczono dookoła choinki, ustawionej na środku salonu. W karnawale szły opowiadania o kuligach i balikach dziecięcych, w poście o tym, jak to dawniej poszczono. no i już o święconym.

— Post był nie na żarty! nawet masła niektórzy nie jedli! ani jaj! tylko żur, chleb, mleko, ryby... Ale zato potem na święcone szykowano pyszne rzeczy! Aż się stoły uginały. A my — dzieci — mieliśmy własne, malutkie święcone — mówiła mamusia.

I raz Basia powiedziała do Krysi

—Wiesz co? poprosimy mamusię, żeby i nam w tym roku przygotowała własne, osobne maleńkie święcone.

Krysia zaczęła skakać z radości.

Tak, tak! cudownie! będziemy mieć święcone! świę co ne!...

Z krzykiem, śmiechem, podskakiwaniem pobiegły do mamusi i nuż prosić, żeby im na osobnym stoliku przygotować malutkie święcone.

Malutkie kiełbaskki i malutkie szyneczki, jajeczka, babki takie ma ciupeńkie i placki i mazurki. I baranka z cukru pośrodku.

I zostało postanowione: dziewcz-

ki dostaną swoje własne święcone.

— Żeby to już prędzej była ta Wielkanoc! — wzdychała Basia, mrugając porozumiewaczo na Krysię, gdy wraz z koleżankami wracały do domu ze szkoły.

— Bo co? — zapytała Jadzia.

— Takie krótkie wakacje! — westchnęła Stachna.

— Tak, ale nam chodzi o same święta. Bo wiecie, my będziemy mieć własne, maleńkie święcone.

— Jakto?

— A tak.

Opowiedziały wszystko dokładnie z najdrobniejszymi szczegółami.

Dziwiły się koleżanki, kręciły głowami, wypytywały.

— A jakie wy będziecie mieć święcone? — spytała wreszcie Basia.

Jadzia wzruszyła ramionami:

— No, cóż? wiele tam się szykować nie będzie. Nie ma na to pieniędzy. Ot, jakieś placki, babka, trochę mięsa...

— A ty, Stachno?

— Ja? przecież mój tatuś jest bezrobotny. Dobrze, że na chleb jakoś matka zarabia, a co tam o święconym mówić.

Basi i Krysi zrobiło się bardzo przykro. Prawda, nie pomyślały o tym!...

Kiedy pożegnały się z koleżankami i skręciły do domu — spojrzały na siebie i w milczeniu kiwnęły główkami. Nie potrzebowały mówić. Rozumiały się doskonale.

— Wiesz, mamusiu — powiedziała później Basia: — My nie chcemy własnego święconego. Urządzimy za te pieniądze święcone dla Stachny i Bronki. One z naszej klasy mają bezrobotnych tatusiów.

A w niedzielę, gdy zobaczyły na ulicy pana z puszką, który zbierał na „święcone dla bezrobotnych" znów spojrzały na siebie i kiwnęły w milczeniu główkami. A potem podeszły i każda wrzuciła do puszki wszystkie grosiki, jakie miała przy sobie. Na „święcone dla bezrobotnych".

Bielimy drzewa

Wre w ogrodzie żwawa praca,
bo się drzewa bieli dziś.
Pan ogrodnik pędzel macza.
Pomagamy: ja i Zdziś.

Wapnem z góry na dół — pięknie
trzeba bielić wszystkie pnie.
Każdy szkodnik się ulęknie,
wejść po wapnie — ani śmie.

Malujemy na dół — z góry,
— Ha, szkodniki!—jest tam który?
hałas przytem jest i gwar.
Uciekajcie z wszystkich szpar.

Kiedy ciepły przyjdzie maj,
Będą drzewa rzędem stały.
poprosi go sadek biały:
— Daj koronę z kwiecia, daj!

O tym, jak Azor pomagał Maciejowi

Koguty darły się tak, że bębenki w uszach popękać chciały, a na domiar złego Azor, pies podwórzowy, swym wyciem i skowytem spać nie dawał. Wstał więc stary Maciej Błaszczak i odziawszy się pośpiesznie przed dom wyszedł. Azor, jak to każdy pies, pana zobaczywszy wnet mu do nóg przypadł i łasić się począł.

Co ci to piesku?

— A nic, wszystko w porządku, zdawały się mówić ślepia wiernego psa i Azor na potwierdzenie tego zaczął wymachiwać ogonem.

Maciej Błaszczak popatrzył na świat mgłą przysłoniety i zawyrokował:

— Pogoda szykuje się niezgorsza czas już ruszyć w pole...

Zajrzał do wozowni, obejrzał wóz dokładnie, osie zasmarował, wypchnął na podwórze i ku stajni podążył.

A w stajni stała para gniadoszów i źrebak Kasztanek. Na widok Macieja radośnie parsknęły konie, a Kasztanek wnet znalazł się przy swym panu i domagać się począł codziennej swej porcji cukru, obwąchując kieszenie. Oczyścił Błaszczak konie i na śniadanie się udał.

W godzinę potem jechał stary Maciej na pole, a Azor, poszczekując, biegł w podskokach przed końmi, a biegł czasem tak blisko, że zdawało się, iż go konie stratują, lecz Azor w porę odbiegał i pędził jak strzała przed siebie, by znów nagle zawrócić i koniom pod łby pod chodzić. A konie grzywami trzęsły, głośno parskały, pociągały wóz w szalonym tempie i zdawały się gonić Azora, by znów po chwili zwolnić biegu. Wtedy chód ich był ciężki, powolny... Tak zajechali na pole. Maciej przełożył konie do pługa, znak krzyża świętego nad polem i na sobie uczyniwszy, orać zaczął.

Skiby czarne, lśniące kładły się równo jedna obok drugiej, a Azor, za panem swym drepcąc, ogląda każdą skibę i poszczekując z uznaniem, macha poważnie ogonem — niby to — że dobrze przez Macieja pole zorane. I kawki, te dziady kościelne gromada się zleciały i jęły się tak głośno kłócić, a bić się między sobą o tłuste pędraki, że Azor zbyt mało czuły respektu dla Azora bo pod sam nos podchodziły i skrzydłami tak wymachiwały, iż Azor zmuszony był czasem cofać się przed nimi. — Wtedy Maciej Błaszczak biczem śmigał i gromadę całą rozganiał a Azora wstydził:

— A wstyd, Azor! domu pilnuj — zmuszony był je godzić, ale kawki złodzieja się nie boi, a przed kawkami ucieka.

A Azor szczerzył zęby, zapierał się mocno łapami i szczekał tak zawzięcie na kawki, jakby nie on sam jakby nie on sam, a pięć takich jak on psów ujadało. A ślepia Azora to już wtedy tak świeciły, jako te latarnie samochodowe. Wtedy kawki widząc, iż źle się to może skończyć ulatywały w górę i cudaczne czyniąc kółka, krążyły nad Azorem, to

nad końmi i starym Maciejem.

Byłby może Azor dłużej tak wojował z kawkami, ale uwagę jego zwróciło coś, co podobne było do Azora.

— A to coś wysunęło łeb z nory i rozglądało się podejrzliwie dookoła.

Lis to był.

Więc Azor jak nie skoczy, a lis w nogi. Azor za nim — jakby chciał pokazać Maciejowi, iż tchórzem nie jest — Pędzi jak wicher i o dziwo! w milczeniu, lekko sprężyście, aż Maciej Błaszczak lejce upuścił z podziwu, a konie powyciągały szyje i rżeniem zachęcały Azora do większego jeszcze wysiłku. Azor jakby rozumiał końską mowę... rwał już teraz tak, iż tylko kurz za nim widać było. Nagle powietrze przeszył skowyt dziki i przez dłuższą chwilę widać tylko było jeden jakiś duży kłąb skaczący i tumany kurzu. A! może lis górą będzie? odpiął więc Maciej barczyk i już ma biec na pomoc Azorowi, a tu Azor już taszczy większego niż on sam, lisa.

Kawki z respektem usiadły zdala i z pochylonymi łebkami przypatrują się Azorowi, który pogardliwie macha ogonem i ani spojrzy na czeredę kawek. Otulił Błaszczak zziajanego psa swą własną kapotą, dał mu chleba kawał, a lisa na wóz wrzuciwszy do dalszej orki się zabrał.

Dzwony na Anioł Pański przerwały dopiero pracę Maciejowa i drzemkę spracowanego Azora.

HERSZT HIPEK I JEGO BANDA

Hipek wcale nie miał na imię Hipolit, tylko Marian, ale nikt go inaczej nie nazywał, jak Hipek. Hip, lub Hipcio. Nawet w domu. I co najśmieszniejsze, że nikt już nie pamiętał, skąd to się wzięło. Chyba stąd, że dawny Maryś wykrzykiwał co pięć minut: „hip, hip, hurra!" — zwyczajem amerykańskim i angielskim. Tak! pewno stąd Maryś był Hipkiem.

Zresztą to nie jest ważne. Ważne jest to, że Hipek był hersztem bandy dzikusów i postrachem nie tylko podwórza, ale i ulicy i sąsiednich domów. Nigdy nie było wiadomo skąd raptem wypadnie czereda bosych roześmianych, rozbrzyczanych łobuziaków i nie zaczną się psikusy. Nie były specjalnie szkodliwe, nie — ale w każdym razie dokuczliwe.

A już kiedy przyszło lato i zaczęły się upały — małych bandytów ogarniał szał. Zgrzani, opaleni, brudni, zakurzeni, ale stale roześmiani i ruchliwi kpili sobie ze słońca i upałów.

Takiego gorącego poranku kiedy Hipek obudził się i spojrzawszy w okno — stwierdził, że jest pogoda — w ciągu pięciu minut był ubrany, wychłeptał (bo nie „wypił") kubek mleka, chleb zabrał z sobą i już go nie było.

— Hip! Hip! — zawołali na jego widok Tadek i Zośka, siedzący już na schodach na podwórzu.

— Hurra! — odkrzyknął Hipek To było ich hasło.

— Co robimy? — dopytywała się Zośka.

— Poczekajmy na resztę! — zdecydował Hipek — herszt.

Niedługo czekali. Coraz to rozlegało się czyjeś: „Hip! Hip!" i gromki odzew: „Hurra!"... A Hipek siedział na schodach, fikał brązowymi nogami, jadł swój chleb i myślał. Jego rozbiegane siwe oczy, aż się zwęziły, jak szpareczki z namysłu.

Przerwał mu go Józef, który wypadł ze schodów domu ogrodowego i z daleka już krzyczał:

— Coś wiem! coś wiem!...

O nie! tego „banda" nie lubiła! (zapomniał krzyknąć hasło!) ale zanim zdołano mu o tym z oburzeniem przypomnieć — Józek zaczął opowiadać:

— A wiecie, było tak! Dziś moja mama mówi do mamy Zośki: „Co się to stało z tą Owczarkową?" Bo wiecie, ta babcia, co na stryszku mieszka, jakoś wcale nie wychodziła. i wiecie co? ta babcia leży chora. Zachorowała z głodu. Bo jest sama i nikt się nią nie opiekuje. Nawet do sklepiku chodzić nie może, bo ją nogi bolą.Moja mama aż płakała, jak tam poszła.

— A moja nie? — dopytywała się Zośka.

— Twoja też płakała. No i...no... myślę, że my coś poradzimy.

Spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Oni poradzić? Ale Hipek— herszt już zrozumiał. Oczy mu zabłysły. Racja! dlaczego jego banda ma służyć tylko do wyrządzania komuś psikusów? Pogadali, pogadali, pokłócili się nawet trochę, ale uradzili.

I odtąd babcia na stryszku czuła się, jak w raju. Od samego rana

PO ZGONIE PŁK. EDWARDA HOUSE'A.



W związku ze zgonem płk Edwarda Hause'a, wielkiego przyjaciela Polski, wieloletniego najbliższego doradcy Prezydenta Wilsona, oraz jednego ze współtwórców traktatu wersalskiego, reprodukujemy zdjęcie, przedstawiające pomnik płk. House'a w parku Paderewskiego w Warszawie.

Pomnik ten został ofiarowany miastu przez Ignacego Paderewskiego.

wpadała do niej bosonoga czeredka, sprzątała, biegała po sprawunki, usiłowała gotować, „urządzała" nawet babciną izdebkę. Pojawiły się nawet kwiaty w doniczkach w oknie i czyste firanki i ładna serweta na stoliku, któremu przybito wreszcie tę naderwaną nogę. Zośka przyniosła nawet kota, żeby babci było milej. Ale i bez niego było jej teraz dobrze. Nie była już samą. Kręciła się dokoła niej cała gromada „wnucząt". A oni odkryli, że biedna, taka smutna dawniej babcia, umie się śmiać cichutko i wesoło, umie opowiadać pyszne rzeczy w deszczowe popołudnia, umie czytać miłym, trochę drżącym głosem książki, wydobyte ze skrzyni pod łóżkiem i umie każdą rzecz wytłumaczyć.

Hipkowa banda wzięła sobie babcię „pod opiekę" i dobrze było i jej i im. No i także całemu podwórzu i kamienicy, bo jakoś mniej dokuczliwe były psikusy, cichsze krzyki i rzadsze awantury, odkąd między podwórzem, a izdebką na stryszku nastało przymierze.

A największą dumą Hipka było, gdy raz kiedy wpadł raniutko, pierwszy z bandy, do babci — powitał go miły, wesoły, drżący głos.

— Hurra! — odkrzyknął i rzucił się babci na szyję.

— Hip! Hip!...

Poczuł na czele usta i wilgotne krople łez. Wiedział, że to łzy błogosławieństwa, radości i wdzięczności i po raz pierwszy w swym życiu rozbeczał się nie dlatego, że go coś bolało, albo, że się czegoś bał — ale dlatego, że z r o b i ł o mu się strasznie dobrze, miło i słodko. Po raz pierwszy poczuł, jak to przyjemnie czynić komuś dobrze.

ODPOWIEDZI CZARNEGO WUJASZKA

Natalia Pisuchówna.

Wierszyk i opowiadanie jeszcze słabe. Musisz jeszcze dużo czytać lecz mniej pisać.

„Moja rozmowa z Igą".

Autor(ka) tego opowiadania musi podać swe nazwisko. Wtedy możemy je wydrukować.

Jaś K.

Dziękuję ci za życzenia. Do naszej rodzinki może każdy należeć kto czyta „Jutrzenkę".

Zosia Kosmalska.

Wierszyk jeszcze słaby. Musisz nabrać trochę wprawy w rymowaniu.

Basia Rygielska..

Oczywiście przyjmuję cię chętnie do grona naszej rodzinki. Kwadrat magiczny nie jest dobry.



— Co pan mówi? Syn mój stłukł szybę u Pana? Ależ nie musi się pan tak przejmować i krzyczeć, bo mogę do pana jeszcze przyjść i pozostałe szyby stłuc!"

„entliczki-pętliczki"

Dobre rozwiązania z poprzedniego numeru „Jutrzenki" nadesłali: Stefan Kaczmarski, Jerzy Wróbel Zygmunt Bałdys, Kazimierz Musiał z Sosnowca. Jan Kowalski z Będzina, Staś Czerwiński z Sosnowca, Adaś Stawiarski z Dąbrowy, Filatelistka, Bugaj Marian z Dąbrowy, Kazimierz Kubis, Zosia Stankiewiczówna z Będzina, „Dzikuska" z Będzina, „Władzio Detektyw", „Liv" Danuśka, Widłakówna z Będzin, J a d z i a Markowska z Sosnowca, Frania Bykowska z Będzina, Zosia Spohorska z Czeladzi, Stasio Starzyński z Sosnowca, Jurek Długoszewski z Sosnowca, Jasia Andrzejewska z Będzina Basia Rygielska z Sosnowca, Jerzy Ostrowski z Sosnowca, Rysio Dyja i Bolcio Mazur z Sosnowca Wandzia Lippertówna z Będzina, Zosia Czarnocka z Będzina, Wiesława Godecka z Psar, Henio Kobylec z Sosnowca, Halinka Misiadlikówna z Sosnowca, Ireneusz Kalinowski z Sosnowca, Lodzia Kałatówna z Będzina, J. M. z Milowic, Jasiołka z Będzina, Janina Niedbała z Psar.

NAGRODY OTRZYMALI: Ireneusz Kalinowski, J. Długoszewski i Filatelistka.

—:o:—

Lagogryf

W podane niżej kratki wpisać 15 wyrazów, których pierwsze litery czytane w kierunku odwrotnym dadzą rozwiązanie.

WYRAZY POMOCNICZE:

1) Część ciała, 2) Jest w kinie, 3) Wyspa na północy, 4) Jarzyna, 5) Drzewo australijskie, 6) Zabawka, 7) Narzędzia stolarskie, 8) Zwierzę południowe (wspak) 9) Imię męskie, 10) Mityczny lotnik 11) Spokój, 12) Wulkan na Sycylii 13) Imię żeńskie (zdrobniałe), 14) Rzeka w Polsce, 15) Ptak domowy.

Wizytówka

ułożył M. Bugaj.

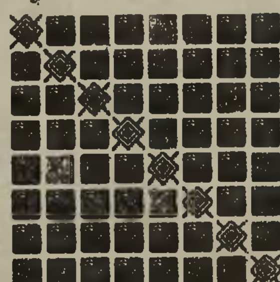
Jaki jest zawód tego pana?

W. ŻAKO

—III—

Łamigłówka

ułożyła Kazia Finkówna.



1) Jarzyna, 2) trzoda chlewna, 3) służy dla ptaków, 4) inaczej tak 5) inaczej modniarka, 6) przedmiot kuchenny, 7) inaczej broń palna, 8) nazwa miesiąca.

Litery oznaczone gwiazdkami dadzą nazwę miesiąca.